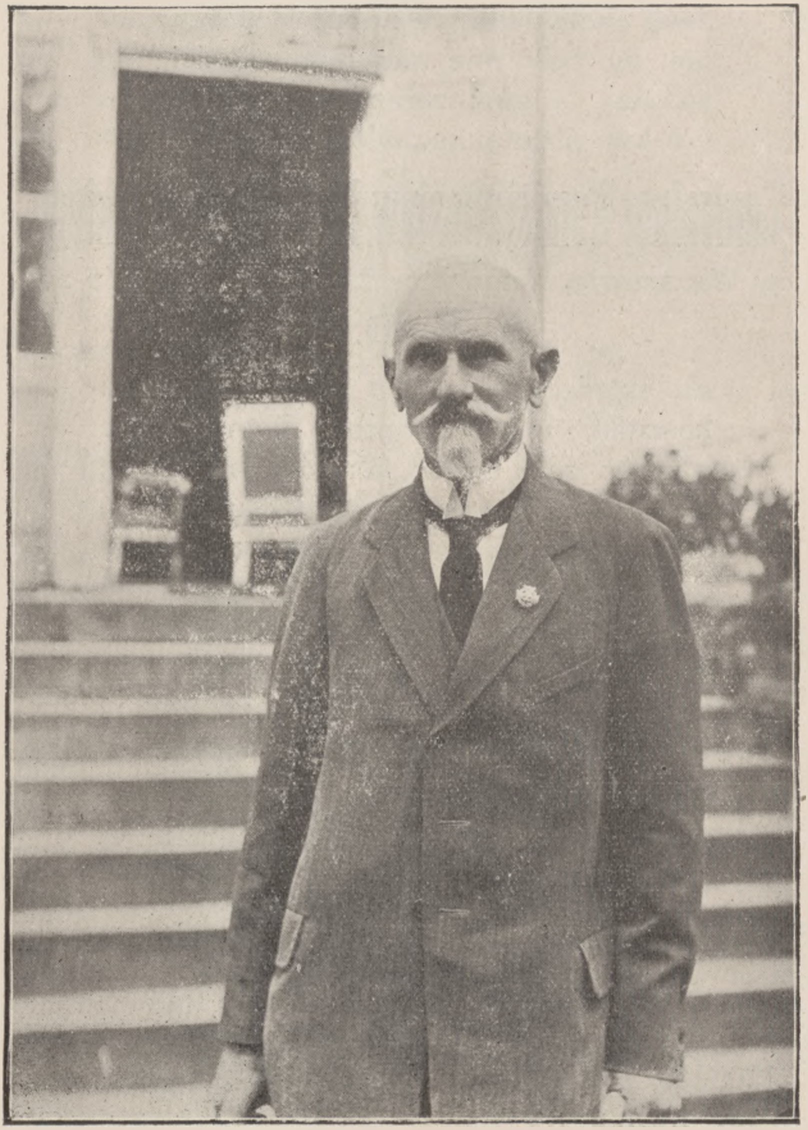
HARCERZ



PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ STANISŁAW WOJCIECHOWSKI.
Druh Protektor Zw. Harcerstwa Pol., Honorowy Harcerz Rzeczypospolitej.

HARCERZ

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK VI. **31 PAŹDZIERNIKA 1925** **Nr. 20.**

Polskim Żołnierzom.

Ustroim kiedyś w cudną wspomnień sławę
Wasze proporce i pałasze rdzawe,
I Imion Waszych będziem poczet święty
Czcić, jako krwawe, polskie sakramenty.
Bowiem w dzień siejby — dzień mozołem długi,
O Wasze kości dźwiękną nasze pługi
I w proch krwi Waszej — rzucim ziemię czarną,
Dla Nowej Polski złote polskie ziarno!

(—) *J. Pietrzycki.*

Po wszystkich krańcach Rzeczypospolitej rozrzucone są mogiły tych, którzy w obronie Ojczyzny padli. Niema prawie rodziny polskiej, któraby w rzędzie swych bliskich i dalszych nie miała choć jednostki przynajmniej, należącej do rzędu krwawych rycerzy Państwa.

Dlatego też — zanim lepszy byt i pewniejszy spokój Rzeczypospolitej pozwoli przyszłym pokoleniom wspaniałe wznieść pomniki tym wszystkim dawcom swej krwi i życia dla całości Ojczyzny, zanim stosunki wewnętrzne i zewnętrzna, utrwalona, mocarstwowa potęga nasza dadzą nam możność kwiatami obsypać te drogie mogiły — już dzisiaj postawiliśmy trwalszy niż kwiaty, mocniejszy niż granit pomnik bojownikom za niepodległość Polski — pomnik w sercach żywych całego narodu.

A jeśli gdzie — to z pewnością wśród młodego pokolenia najczystszy i najgorętszy kryształ uczucia posłużył jako niezniszczalny materjał dla tego pomnika sławy, jaki Polski Żołnierz na zawsze, po wszystkie czasy w sercach młodzieży znajdzie.

Bo w tym Żołnierzu widzi młodzież przedstawiciela najbardziej wyraźnej służby dla państwa, widzi w nim zrealizowany ideał obrońcy granic i stróża nieznużonego, niewyczerpanego, wiernego hasłu aż do ostatniej kropli krwi, aż do tchu ostatniego.

Widzi w nim strażnika wielkości i godności państwa, który nie tylko broni Ojczyzny w chwilach ciężkich, ale zawsze daje odpór każdemu atakowi, a siłą swej duszy i potęgą ramienia budzi szacunek w przeciwniku — i miłość bezgraniczną u swoich.

Dziś tem potężniej płonie znicz miłości dla Żołnierza w sercach polskiej młodzieży, że oto oni, ci wojownicy, ci nasi serdeczni, zaspokoili tęsknotę naszą ku tym czasom, gdy byli polscy żołnierze, gdy było polskie wojsko. Oni przywrócili znowu ten stan, który przez czas niewoli najsilniej żył w oczach młodzieży, stan Polskiego Żołnierza.

Od kilku dopiero lat trwa nowa służba żołnierska w Polsce. A przecież mimo krótkiego, nowego okresu, ileż znamy przecudnych wypadków bohaterstwa, ilu nieznanych herosów wydała nasza Armja!

A są wśród nich i to w pokaźnej bardzo liczbie ci, którzy i wiekiem i temperamentem najbliższymi kolegami są młodego pokolenia, są krwią z krwi i duchem z ducha młodzieży.

I chociaż droga ich służby skończyła się, chociaż gorące ich serca bić przestały — przecież postać tych młodych szeregów wiecznie trwa u nas i wiecznie trwać będzie.

Najlepszym zaś pomnikiem Ich chwały, najdoskonalszym wyrazem czci dla Nich — pozostanie na zawsze ten niegasnący zapał, jakim owiane są tysiące młodzieży polskiej, pragnące Polsce służyć, pozostanie ten rys charakteru, coraz silniej gruntujący się, coraz wyraźniejszy: radosnej wytrwałości w trudach żołnierskich i mężnego stawiania czoła w obronie wszystkich części składowych pojęcia: „Polska“—w obronie terytorjum i w obronie duchowych skarbów. Owocem życia tych bohaterów — to coraz silniejsze pragnienie młodzieży: bronić wielkości, godności i potęgi wszystkiego, co polskie.

Takim Zniczem czci młodzież polska pamięć Żołnierza, który w walce o całość i nienaruszalność Ojczyzny padł w boju.

Ten Znicz płonie zawsze, codziennie, jak codziennie wykuwać trzeba lepszą dolę Polski, jak codziennie stawać trzeba w obronie wielkich wartości ducha polskiego, jak codziennie trzeba dawać odpór przed atakami jednostek skarlałych na wielkie skarby polskiego narodu.

W tej służbie niech święci się wiecznie pamięć Żołnierza—Bohatera.

Tadeusz Uhma.

MAM SZCZERĄ WOLĘ CAŁEM ŻYCIEM PEŁNIĆ - - - - - SŁUŻBĘ OJCZYŹNIE. - - - - - -

Harcerz pracuje ofiarnie dla Ojczyzny na każdej, zajmowanej przez siebie placówce. Rozumie, że Polsce potrzeba bohaterów codziennego życia. W razie potrzeby każdej chwili jest gotów do obrony granic Ojczyzny.

KIEDYŚ.

Kiedyś... po latach, gdy zcichną te fale,
które nas w wirów porwały odmęty,
kiedy opadnie huragan krwi wzdęty
i łzy obeschną i ścichną już żale —

Ze czcią ujmiecie pogięte pałasze
i zawiesicie na ścianach wysoko
i łzą serdeczną zabłyśnie Wam oko,
gdy Wam powiadać będą dzieje nasze.

I będzie pełny znów każdy zakątek
polskich relikwji i polskich pamiątek.

I znowu ogniem zapłoną Wam lice
w nasze wzmożone, żałosne rocznice.

I w niebo pieśni popłyną orędzie
Kiedyś — po latach — gdy nas tu nie będzie...

J. Mączka.

WISŁĄ DO GDAŃSKA.

Wracając do przerwanego opisu wycieczki łodzi żaglowej Nautilus z Warszawy na morze przypominam, że łódź, dotarłszy do Płocka, zatrzymała się dla drobnych reperacyj. Załoga, korzystając z niedzieli, zwiedza miasto, kilka zdjęć pięknej katedry razem z widokiem ogólnym z Wisły ma nam przypominać ten etap podróży. Następnego dnia po uskutecznieniu reperacji wyjeżdżamy.



Fragment murów zamku Krzyżackiego w Gnieźnie

Bardzo silny wiatr północno-zachodni opóźnia przyjazd do Włocławka (następnego dnia koło południa). Miasto zupełnie nieciekawe. Zatrzymujemy się tylko dla zapisania łodzi w miejscowym klubie wioślarskim. Przy bardzo słabym wietrze i pięknej, słonecznej pogodzie jedziemy dalej. Łódź żaglową, „Panna Wodna" choć o kilka dni przed nami wyruszyła, spotykamy teraz opodal. Bez wiatru tylko unoszeni prądem posuwamy się wolno. Nocleg wypada koło ruin w Bobrownikach. Następnego dnia żar bije z nieba bez chmurki. Gładka powierzchnia wody błyszczy jak roztopione srebro. Prażymy się na słońcu, od czasu do czasu płynąc obok łodzi dla ochłody i rozrywki. Na łodzi panuje senna cisza. Wolno przesuwa się biały żagiel przed zdziwionemi oczami mieszkańców Nieszawy, przed ukrytym w dali od brzegu Ciechocinkiem. (Była granica Królestwa). Wisła uregulowana jako teren żeglarski przedstawia się od tej pory o wiele lepiej. Częste znaki na brzegu dokładnie wskazują nurt. Mijamy Złotorję. Do Torunia nie spodziewamy się zajechać przed wieczorem. Nagle zrywa się silny wiatr wschodni i pędzimy, z humorem prując wodę. Za chwilę widzimy most i przedmieście Torunia. Jeszcze chwila i przybijamy do przystani Klubu wioślarskiego naprzeciwko miasta. Opróżniamy łódź, golenie, mycie i idziemy do miasta.

W Toruniu spędziliśmy dwa dni dłużej niż można się było zatrzymać wobec czekającej nas długiej jeszcze drogi. Miasto pełne zabytków i pamiątek odbija bardzo od miast Królestwa. Czytelniku, nie czekaj opisu. Jedź i zobacz! to tak blisko, a takie piękne i ciekawe! W Toruniu opuścił nas jeden z uczestników wyprawy i zastąpiony natychmiast przez innego—tym razem lekarza. Lekarz ten popisał sią odrazu swą wiedzą, lecząc piszącego te słowa. Mianowicie przepaliło mię słońce, i w Toruniu chicałem umierać, a w każdym razie było mi bardzo smutno. Dobry lekarz nie dał mi jeść przez dwa dni, a potem świat poweselał mi w

oczach. Czy sądzicie że skończyły się nasze przygody? Z Torunia wyjeżdżamy prawie w burzę. Wiatr Zachodni. Łódź z trudem posuwa się, rozbryzgując pieniste gryfy fal. Pod Solcem nieporozumienie z promem, który chodzi sobie z brzegu na brzeg jak wahadło zaczepiony na długiej, stalowej linie. Lina zakotwiczona na środku rzeki spoczywa na kilkunastu łódkach i z niemi razem jedzie w poprzek. Myśmy pierwszy raz widzieli coś podobnego, a Niemcy skorzystali z okazji, żeby powiedzieć nam parę czułych słów.

Zbliżamy się do promu, właśnie w chwili, gdy ten zagradza nam drogę. Czekaliśmy chwilę, sądząc, że będziemy mogli wyminąć go, gdy wtem ku naszemu przerażeniu spostrzegamy linę, przeciągniętą przez rzekę. Musimy więc cofnąć się, objeżdżać linę, nawet poza kotwicę promu. Niemcy zamiast wyjaśnić budowę promu, zaczęli nas witać niebardzo uprzejmemi okrzykami. Nie obawiaj się jednak, Czytelniku, nie zostaliśmy im nic a nic dłużni. Podpływamy do oczekiwanego zakrętu Wisły pod Bydgoszczą (właściwie pod Brdoujściem). Tam powinniśmy spotkać wiatry bardziej sprzyjające.

Tymczasem pod Brdoujściem czekała na nas ulewa. Namokłe żagle



zerwały nam ściągacz na lewej wancie. Uszkodzenia zreperować się dało na noclegu poniżej Brdoujścia u bardzo gościnnych przewoźników.

(C. d. n.).

OBÓZ POD JELEŚNIĄ.

Mam przed sobą kronikę obozu instruktorskiego Chorągwi Krakowskiej. „Takie zakończenie kroniki” pisze na końcu kronikarz, najstarszy ze „Salamander” — „robi człeka, choćby był nawet najtrwalszą Salamandrą, strasznie markotnym“. Czuję to. Nie można sobie darować, że się już odrywa oczy od ubiegłych dziejów. A przecież o najmizerniejszej desce możnaby pisać i jeszcze ile! — Ślęczenie nad kuchnią czterech półnagich kuchcików i dmuchanie w rozpaczliwie wysoki komin: układa się w wirujący film miljarda bodźców do śmiechu — rozczulenia—patosu—wykrzyków.

Patrzę teraz na Żbika obraz, malowany w kronice, ciągnący za sobą całe armje wspomnień, których był bohaterem. Twarz Żbika zmienia się co moment: to kaprysi podle nad kwaśną śmietaną — to zapatrzy się dostojnie, gdzieś w środek ogniska przy gawędzie — to z rozczuleniem

zerka na bacę z pod Romanki — to błyszczy ślepiami na widok dziury zbójeckiej — to syczy śmiechem nad krakowiakiem Grzebyka — kurczy się pod brzytwą „Siasia".—O twarzy Żbika można pisać 100 tomów — i nie będzie grzechem, że sam autor nad własnem zdaniem będzie fikał nogami — lub sam „uszlachetniał się od wspomnień".—Jak to on gadał: „mężowie..." — albo jaki to miły krakowiak Seneki:

„... Wysokiej postawy, każdy go unika,
Bo okropnie twardą jest prawica Żbika..."

Komuż to nie rozwiera się buzia w uśmiechu od ucha do ucha?—

To Żbik—a inni!

Na serjo: ile razy wezmę się do przeglądania krakowiaków Seneki—to zbeczę się w obrzydliwy sposób. Staje zaraz przed oczyma: pała w ręczniku, w grubym, czerwonym płaszczu — bosonoga i śmieje się przedobrotliwie i prześmiesznie.—

Tam gdzieś, nie wiem, jak się nazywają, ale mięśnie brzucha—tak zaczynają drgać—powoli, a potem coraz bardziej i bardziej — że niema rady, tylko kłaść się na kanapie i wrzeszczeć okropnym rykiem: ha—ha—ha!

I to z byle drobiazgu:

Taka fizjonomja Muchy za czasów kucharzenia, (trzeba go było widzieć)— albo nogi Grzebyka w swetrze — te żelazne kluski Genka — „hiszpańskie" ciasto — to śmieszne—„pi—pi" Chomika i jego dwie łaty na brodzie. —

Z drugiej strony, aż rozpacz człowieka chwyta, że to niespisane wszystko — że o tem się zapomni i że tyle miljonów ludzi, Murzynów, Hindusów etc. etc. nic o tem nie wie i nie ma sposobności z tego powodu do pokazania zębów w śmiechu.

Nie obdarzyła mnie Opatrzność bujną fantazją i sprytną mimiką—ale jak opowiadałem mamie o tym wypadku: jak Tadkowi z naleśników zrobiły się omlety—osoba skądinąd poważnie na życie patrząca—zaśmiewała się do łez.

A przecież dla innych to, co napisane w kronice, nie mówi prawie nic.

Jeśli napiszę n. p. „runął maszt"— „No to cóż wielkiego"—obcy powie— i koniec.—A ja?—Ja zaraz wiem, że to było coś bardzo wielkiego, bo 16-metrowego i Seneka dość się nabiedził zanim się to wkopało, — wiem, że się to śmiesznie kiwało, i że nad tem kiwaniem nie raz i nie mało nadysputowaliśmy się podczas objadów— zaraz przypominam sobie pod masztem paprocie—a potem smutny się robię, gdy uprzytomnię sobie chwilę, jak to Jasiek ten maszt rąbał i rąbał i później te kawałki paliły się na ostatniem ognisku i jak piekły się i czerniały i nie zostało w końcu nic, jak tylko garstka popiołu. I staję się bardzo — bardzo smutny i zadumany nad nietrwałością rzeczy tego świata.

Gdy to tu piszę—czuję się bardzo dumny i nie wiem dokładnie z czego. Zdaje się, że po prostu z tego, że do mnie piszącego—co chwila przychodzi jakiś przedmiot, może być nawet bardzo nędzny—choćby jak ten krzywy gwóźdź, na którym rozprułem spodeńki od paska, aż po koniec nogawicy — albo jak ta brzytwa, przed którą musiałem nucić trwożliwie: „Siasio już—ostrzy nóż — ty się trwóż — brzytwa tuż"—i wszystko prosi: „napisz o mnie — i o mnie i o mnie".— i widzę przed sobą całą moc takich gwoździ — kizialów — świeczników — krakowiaków, i jedno śmieszniejsze od drugiego i jedno głośniejsze od drugiego. I przedziwna radość patrzeć na to, tak z wysokości paru tygodni i rozmawiać z każdem poufale. Rozumie się, że tych wszystkich tajnych rozmów opisać nie sposób. Zresztą każda jest niesłychanie długa i pogmatwana. Zacznie się n. p. myśleć

o puszce od sucharów, do której chowało się „szwimki”, aby „rewizja” ich nie znalazła—i zaraz potem myśli się o minie Kozła, jak w chwili dobrego humoru przymrużał bestjalsko oko—przeskakujesz do smętku Francuza—a potem do podwójnych spodni Władzia i rozmyślaniom nie masz końca.—

Na zakończenie pojawia się uśmiechnięta buzia p. M.*) i jego bajeczne anegdoty. Ledwie przypominasz sobie te chwile, zaraz wpada na ciebie Żbik, baraszkujący na Lipowskiej Hali i śpiewający refren: „Sera, sera sera—dajcie — a jak umrę, pochowajcie...” „Hej—tam pod lasem”—z bajecznemi parafrazami.

Niestety prawdą jest, co powiedział ów instruktor Z. H. P.

„Wszystkie 3 kilo, któreś bracie z trudem zyskał na obozie — stracisz w konwulsjach śmiechu nad wspomnieniami—i w czarnej melancholji—że było i już się skończyło”.—

Tyle kronikarz — ale taki kalejdoskop wspomnień rzewnych i tęsknych budzi się w każdym uczestniku obozu. Miesiąc życia leśnych ludzi, miesiąc spędzony wśród intensywnej pracy, boć z tego obozu miał wyjść nowy zastęp tęgich pracowników, tyle w nich nadziei włożono! Przytem jednak tyle radości życia, tyle snów przyszłości, zadumy przy gawędach wieczornych, tyle chwil radości i beztroskiego wesela. Hej! leśne życie harcerskie!

Była nas gromdka nieduża—3 zastępy i zżyte, dobrane grono „wodzów”, wytrawnych włóczęgów i wilków leśnych. Cośmy robili? — Co tu dużo gadać. Powiem wam „pionierka”,—to trzeba było widzieć, jak obóz był urządzony, ile pomysłów praktycznych, nowych, ślicznych; powiem „ćwiczenia zmysłów i spostrzegawczości, ćwiczenia przyrodnicze”,—to ich trzeba doświadczyć; powiem „kucharstwo” — to trzeba objadu spróbować (ach te leguminy); „strzelanie“—tobyś musiał przyjść na nasze „polowanie“; „gawędy wieczorne“, — musiałbyś im przysłuchać się i wiedzieć, że ani jedno ognisko bez nich się nie obeszło; a potem trzeba wysłuchać 375 krakowiaków (to tylko te, które jako najgodniejsze kronikarz utrwalił). — Wszędzie musiałbyś być, wykręcać kości przy gimnastyce, wykąpać się w rwącej Kaszarawie, namozolić się nad planem obozu (a jaki dokładny!), na wycieczce drzeć się po skałach i szukać noclegu w kolibie, musiałbyś iść z błędnymi rycerzami w „dzień dobrego uczynku“, widzieć nasze obrzędy, nasze powitanie dnia i pożegnanie słońca.

Musiałbyś tam z nami żyć!

Meel...

*) zarządca lasów.

Wódz skautów angielskich — o r dości.

Tylu jest ludzi, biorących rzeczy zbyt serjo. Wyglądają oni zawsze jak ten żarłoczny chłopiec przy obiedzie; patrzą, co innym ludziom się dostało i uważają się za pokrzywdzonych, ponieważ nie są obdzieleni równie dobrze, jak inni.

Zapominają, że życie jest bądź co bądź sprawą chwilową. Przeleci ono szybko i jest rzeczą małej wagi, że ktoś ma trochę więcej od innych, skoro wszyscy życia używają. Dużo jest wesela w życiu dla każdego, kto umie wyrobić w sobie usposobienie, aby być szczęśliwym. Jeżeli umie się widzieć zawsze wesołą stronę każdej sprawy, życie płynie gładko, a przeważnie zawsze można znaleść pierwiastek wesołości nawet w chwilach bardzo a bardzo ciężkich.

Ludzie, nie umiejący widzieć w każdej rzeczy wesołej strony, i nie posiadający poczucia dobrego humoru, stają się nieszczęśliwymi, pochmurnymi i ze wszystkiego niezadowolonymi, a prawdopodobnie takimi zostaną aż do śmierci, poczem jeszcze narzekać będą na przedsiębiorcę pogrzebowego, że trumna jest za długa.

Dobry humor udziela się równie jak odra. Raz mianowałem oficerem w mojej armji niejakiego człowieka tylko dlatego, że był dzielnym i pełnym dobrego humoru.

O sprawach wojskowych nie miał najmniejszego pojęcia, lecz co mi to szkodziło — on był tak cenny przez swój dar wzbudzania odwagi. Śmiech jego rozlegał się po całym obozie i żołnierze, słysząc go, mieli również ochotę śmiać się, a cały oddział stawał się dzielnym i raźnym, nawet w chwilach bardzo niewesołych, ze zwykłego punktu widzenia, gdy byliśmy pogrążeni w bagnach, unurzani w błocie, wycieńczeni głodem i narażeni na największe niebezpieczeństwo. Lecz staraliśmy się brać to wszystko wesoło i uśmiechać się.

— Bądź dobrym, a będziesz szczęśliwym — mówi znana maksyma, ja zaś dodałbym: bądź wesołym, a będziesz jeszcze bardziej szczęśliwym.

Robert Baden-Powell.

Dlaczego zegary w Bâle spieszyły się?

W opowiadaniach o podróżach do Szwajcarji z ostatniego wieku, można często zauważyć wzmiankę, że zegary w Bâle spieszyły o godzinę. Tradycja opowiada nam o powstaniu tego zegaru, jak następuje:

Kiedy, przed więcej niż pięcioma wiekami, miasto było oblegane, nieprzyjaciel zdecydował się wziąć je szturmem w chwili, gdy wielki zegar wydzwoni godzinę pierwszą po północy. Zegarmistrz, opiekujący się zegarami publicznemi, dowiedziawszy się wczas o sygnale do ataku, nastawił zegar tak, by wydzwonił godzinę drugą zamiast pierwszej. Zbity tem z tropu nieprzyjaciel odstąpił od oblężenia.

Przez pamięć na szczęśliwe uwolnienie miasta pozwolono zegarowi pospieszyć o godzinę i nawet uregulowano inne zegary podług niego; w ten sposób przez przeciąg kilku wieków Bâle miała zawsze godzinę wcześniejszą, od reszty kraju.

Zegarmistrz, który przez swój podstęp przeszkodził zamierzonemu atakowi i który był czczony przez całe miasto, aż do śmierci, na pamiątkę tego zdarzenia zrobił głowę ludzką, z przyrządzeniem mechanicznem wewnątrz i umieścił ją obok zegaru w taki sposób, że patrzyła ona w stronę, skąd miał był przyjść atak. O każdej minucie głowa ta pokazywała język, jakby chcąc się jeszcze wyśmiewać z nieprzyjaciela.

Czy wiecie że...

Można zrobić sobie oświetlenie zapomocą ryb; W Alasce są ryby, które służą zamiast świec. Wielkością dorównywują one mniej więcej śledziom. Aby mogły być użyte, trzeba je suszyć, zdjąć im skórę, odciąć głowę i rozpalić je od ogona. Ich spalanie się trwa około godziny; płomień jest żółto-czerwony, dosyć jasny. Wiatr, nawet gwałtowny, z trudnością gasi te pochodnie, które tak dobrze oświecają ciemności długich, polarnych nocy.

Pewne owoce są używane, jako lampy; pod zwrotnikiem, na wyspach Oceanu Spokojnego, w pewnych okolicach Ameryki Południowej, krajowcy używają, jako oświetlenia, „orzecha-święcy“ albo „orzech a śmietankowego“, zwanego przez kolonistów „velg nuea“ albo „cream-nut“, zależnie od tego czy mówią oni po hiszpańsku, czy po angielsku, a przez krajowców nad Amazonką „sapukaja“. Istnieją dwie odmiany tego orzecha. Krajowcy wybierają największe okazy, które służą im jako pożywienie i jako oświetlenie. Orzech ten pali sie bez zapachu i bez dymu, daje światło jasne, dość ładne i bardzo stałe, zapala się bardzo łatwo. Rzecz szczególna, że przyroda zachowała w nim jakby kanał pusty, idący od jednego końca owocu do drugiego, co pozwala osadzać tę „świecę” na każdym wydłużonym przedmiocie.

Postrach oceanu.

Lwy morskie napadają na pingwiny

Doktór — kapitan Murray-Levick, stary i wielce miły towarzysz Scotta w wyprawach do bieguna południowego, wygłosił odczyt o pingwinach, w którym przytoczył ciekawe wiadomości o lwach morskich.

Daleka to wyprawa do bieguna południowego, więc też i mało co wiemy o tych strasznych potworach morskich. Kapitan Levick nazywa je największymi wrogami pingwinów. Kiedy ptaki te chcą powrócić z lądu na morze, aby zdobyć pożywienie dla swych piskląt, lwy morskie pływają w pobliżu wybrzeża, szykując się do napaść i Ptaki, które obserwował Levick, wiedziały, że wróg ich czeka w pogotowiu i stały u brzegu wody, nie mając odwagi puścić się na fale. Zbiwszy się w gromadę, starały się skłonić jednego z pośród siebie, aby wszedł do wody i stał się przewodnikiem dla reszty. Po niejakim czasie, popychając się i walcząc ze sobą, ptaki zaczęły krążyć nieustannie, jak gdyby odbywając zapasy, rugby foot-ball'owe; dopóki w końcu jeden z nich nie został wepchnięty do wody, poczem pozostałe szybko podążyły za nim.

Zupełnie uzasadniony jest strach pingwinów przed lwem morskim. Po rozkrajaniu jednego potwora, zabitego podczas wyprawy, okazało się, iż we wnętrznościach swych zawiera on ciała od 20—30 pingwinów, a każdy pingwin waży od 20 — 50 funtów.

Niektórzy z uczestników wyprawy Scotta będą w możności dopełnić szczupłe wiadomości o lwach morskich, jakie posiadają dzieła z historji naturalnej o tych zwierzętach. Lew morski, sławny ze swej nadzwyczajnej ruchliwości, uważany był za zwyczajnego pożeracza pingwinów, lecz Sir Douglas Mawson widział, jak napadał na inne zwierzęta morskie. Kapitan Frank Wild, z lwami morskiemi miał niejedną przygodę z niemi w tym czasie, kiedy Shacketon i on, wraz z całą załogą, byli porwani przez lodowiec, który pochłonął ich statek „The Endurance“. („Wytrwałość“) Nastały wówczas rozpaczliwie ciężkie czasy, aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy oprócz zapasów żywności, przeznaczonych na podróż saniami, pozostało na dwa posiłki, i los ich zawisł od mięsa, tłuszczu i tranu tych mieszkańców oceanu, które uda im się złowić. Byli oni w ciągłem poszukiwaniu lwów morskich, aż wreszcie zjawiła się upragniona ofiara, która jednak początkowo występowała zaczepnie. Był to olbrzymi okaz. Wskoczy-

wszy nagle na lodowiec, napadł na jednego z ludzi załogi, aby go zabić i pożreć. Lecz nastąpiła zmiana ról: Wild, usłyszawszy głośne krzyki na alarm, pobiegł po broń i strzelił celnie, kładąc trupem tosamo zwierzę, które przyszło połknąć człowieka, lecz pozostało, aby posłużyć za pożywienie dla wielu ludzi. W brzuchu jego znaleziono mnóstwo niestrawionych ryb. Wyjęto je i usmażono na tłuszczu. „I to była jedyna uczta—pisał Shacketon — ze świeżych ryb, przez cały czas pobytu naszego na lodowcu". To straszliwe zwierzę, którego każda cząstka stanowiła drogocenny pokarm, wraz z ładunkiem ryb we wnętrznościach, akurat wystarczyło, by utrzymać załogę przy życiu. *K.*

O akcji Letniej na terenie drużyn prowincjonalnych Chorągwi Warszawskiej—Męskiej.

Komenda drużyn prowincjonalnych położyła wielki nacisk na urządzanie letnich obozów stałych i wędrownych oraz na liczne wysłanie kandydatów do obozu starszyzny nad Wigrami oraz do obozów harcerskich p. w. w Zegrzu. Plony z tej akcji są bardzo obfite i co najważniejsze zostało przełamane raz na zawsze twierdzenie, iż drużyny prowincjonalne nie potrzebują obozów, bo i tak mieszkają na łonie przyrody, ewentualnie wyjeżdżają na lato do rodziców na wieś.

Na obóz starszyzny zostało wysłanych 30 harcerzy z 14 środowisk. Byli oni zgrupowani w 3 zastępy i stanowili drużynę „Wigryszek" której drużynowym był podh. J. Jarnuszkiewicz, zwany „Tarara". Drugą drużynę stanowiły 2 zastępy ze stolicy i jeden złożony z „zagraniczników" (z innych chorągwi); ta nosiła nazwę „Kleszczewo". Choć drużyna „Wigryszek" pod względem technicznym stała niżej od „Kleszczewa", to jednak swą pracą i wysiłkami zdobyła mistrzowstwo, a jeden z zastępów, a mianowicie zastęp „Borsuków" (zastępowy przod. W. Błaszczyk) zdobył tytuł mistrzowskiego zastępu obozu starszyzny nad Wigrami roku 1925.

W obozach p. w. w Zegrzu było 12 harcerzy z 6 środowisk. Jak na akcję szkolenia instruktorów jest to dosyć dobrze—gdyż 50% drużyn i środowisk otrzymało świeże siły instruktorskie.

Obozów w roku obecnym urządzono 15, w tem 3 na kresach i 2 wędrowne. Na kresach obozowały 1 i 5 Mławska w Dunajczycach oraz 6 Pruszkowska w Janowicach. Wędrowne urządziły Mińsko-Mazowiecka na Górnym Śląsku, oraz 3 Łowicka w Tatrach.

Następujące środowiska lub drużyny urządziły obozy stałe:

1. Ostrów-Mazowiecki nad Bugiem w Broku

2/3. Pułtuska na Kurpiach pod Rwianem

3./3 Utracka nad Bugiem pod Wyszkowem w Drogoszewie

4/5. Pruszkowska w Druskiennikach i 3 Pruszkowska w Czorsztynie

5. Skierniewicka nad Rawką pod Samicami

6/1. Łowicka pod Łowiczem

7/1. Piaszczyńska pod Piasecznem

8/1. Przasnyska na Kurpiach.

Hufiec Żyrardowski urządził 3 obozy jednotygodniowe w lasach nieopodal Żyrardowa. Za inicjatywą ko-

mendy drużyn prowincjonalnych przy dużej pomocy finansowej Z. O. (700 zł.) urządzono obóz w maj. p. Ciecierskiego w Bacikach (pow. Bielsko-Podlaski) dla drużyn rzemieślniczych, szkół zawodowych i powszechnych. Znalazły w nim miejsce drużyny z Łowicza i Wołomina.

Ogółem obliczamy, że w roku ub. obozowało około 400 chłopców.

Akcja nasza jak z tego widać, rozwija się dobrze i rokuje nadzieje na przyszłość, gdyż uważam, że o ile drużyna lub zastęp pokosztował życia obozowego, zechce i w roku przyszłym utrzymać swą tradycję. Obozy nasze, szczególnie kresowe, oddały wielką usługę akcji polszczenia kresów wschodnich i z tego punktu na nie patrząc trzeba uwzględnić pewne braki, czy to pod względem obozowania (w budynkach, a nie w namiotach), czy też w gospodarce (ułatwiał wszystko K. O. P.) i mimo różnych „ale" w roku przyszłym kontynuować dalej rozpoczętą akcję. Grunt jest urobiony, obywatelstwo bardzo życzliwe, K. O. P. i inne władze państwowe całą tę akcję usilnie popierają, zaś ludność została przekonana i przy końcu obozów odnosiła się także przychylnie—należy tylko z naszej strony wybierać drużyny starsze, zamożniejsze i w roku przyszłym znów wysłać je na kresy w myśl hasła „dla Ciebie Polsko".

O wynikach naszej akcji obozowej napiszemy trochę później, gdyż dotychczas nie wszystkie jeszcze drużyny nadesłały raporty powakacyjne. Na tem miejscu jednak musimy podnieść sprawę zapomóg Zarządu Odziału i złożyć najserdeczniejsze podziękowanie za tak wydatną pomoc finansową, jaką otrzymały r. b. niektóre drużyny. Możemy z całą ścisłością stwierdzić, że 50% urządzonych obozów doszło do skutku, tylko dzięki zapomogom Zarządu Oddziału. Zresztą w najbliższym artykule liczby za siebie przemówią, i będzie bardzo charakterystyczne porównanie liczb takich jak zapomogi Kół Przyjaciół i Zarządu Oddziału. Podając tę garść wiadomości o akcji letniej chciałbym zachęcić inne Komendy do wymiany myśli i poglądów co do akcji letniej, a szczególnie obozowej.

Porozumiewanie się takie może naszą akcję skoordynować i podnieść oraz wydać lepsze wyniki.



Obóz wypoczynkowy Druhen z Pragi i kurs zastępowych 26 W.Ż.D.H. w Zubkach (oprócz śpiochów) u dołu Zuchy Błękitne (42 W. Ż. Dr. H.)

Nie brakowało nigdy Polsce bohaterów, poświęcających ofiarnie swe życie i mienie dla ratowania Ojczyzny w chwilach niebezpieczeństwa. Mimo to Polska przez półtora wieku była niewolnikiem innych państw i narodów – bo miłość Ojczyzny wybuchała wielkim płomieniem w chwilach osobliwych, a na codzień była ledwo letnia. Niewola nauczyła nas wielu prawd, których naród polski nie rozumiał w czasach przedrozbiorowych. Ale zrozumienia tej prawdy, że byt trwały i potęgę państwu zapewnia jedynie codzień żywa, codzień w ochoczem, wedle pełni sił i najlepszej woli, spełnianiu obowiązków przejawiająca się, codzień w walce ze wszelkiem złem, godzącem w siłę Polski, umacniająca się miłość Ojczyzny – brak nam jeszcze na ogół. Harcerstwo musi to zrozumienie w sobie wyrobić.

St. Grabski

CO SŁYCHAĆ w Z. H. P.

Przedstawiciele Harcerstwa u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Protektora Związku Harcerstwa Polskiego.



12 b. m. o godz. 11-ej przyjął Pan Prezydent Rzeczypospolitej na audjencji Naczelnictwo Z.H.P. w składzie następującym: przewodniczący Z.H.P. Roman Bniński, vice-przewodniczący Gen. A, Osiński i St. Sedlaczek, sekretarz generalny O. Grzymałowski, naczelny Kapelan Związku ks. M. Bogdański, kierownik działu zagranicznego T. Sopoćko, kierownik działu propagandy i redaktor „Harcerza" T. Uhma, kierownik działu St. Harcerstwa J. Grabowski, przyboczna naczelniczki G. K. Ż. Z. Wilczyńska.

W ciągu półgodzinnej rozmowy delegacja przedstawiła Panu Prezydentowi stan organizacji pod względem finansowym, rozwój organizacji liczbowy i jakościowy, powiadomiła Pana Prezydenta o wyniku zawodów, które dały nagrodę przechodnią, ofiarowaną przez Pana Prezydenta IV Bydgoskiej Drużynie Harcerskiej. Omówiono też zamiary na najbliższą przyszłość, przyczem okazało się, że Pan Prezydent poza sprawami czysto wewnętrznemi wielką wagę przywiązuje do uczestnictwa Harcerstwa w akcji wystawienia pomnika Bolesława Chrobrego w Gnieźnie, jako wyrazu czci całego narodu i całej Polski dla tego Wielkiego Króla. Program Naczelnictwa w tej sprawie uznał Pan Prezydent za bardzo celowy i przyrzekł swe poparcie.

Zakończono audjencję wspólną fotografją z Panem Prezydentem, uzyskano też zgodę

Pana Prezydenta na osobną Jego fotografję z krzyżem harcerskim, ofiarowanym Mu w dniu 8 maja ub r. przez władze harcerskie.

ŻYCZENIA.

W dniu 25.X b. r. druh ks. Bronisław Wiertel złożył pierwszą ofiarę Mszy św. Redakcja „Harcerza" wraz z Jego czytelnikami przesyła Mu w tym wielkim i uroczystym dniu najlepsze, najserdeczniejsze życzenia.

Redakcja „Harcerza" otrzymała bardzo serdeczny list od drużyny im. Tadeusza Kościuszki w St. Etienne Loire we Francji. 8-miu druhów zaprenumerowało „Harcerza" i cieszą się, że będą mieć na obczyźnie pismo harcerskie w języku ojczystym. Przyrzekają nam również nadsyłanie artykułów o swojej pracy i zajęciach, które z największą przyjemnością umieszczać będziemy na łamach „Harcerza". Redakcja cieszy się bardzo z miłego listu i ma nadzieję, że kontakt między nią i drużyną Tadeusza Kościuszki zacieśni się węzłami serdecznej przyjaźni i współpracy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„Bezdomnemu Krukowi". Nie wiemy o jakiego harcerza z Ameryki Wam chodzi— o Amerykanina, czy też o Polaka. Drużyn polskich w okolicach Chicago niema. Celem korespondowania ze skautami amerykańskimi należy się zwracać do: Mr. Mortimer S. Schiff International Cominissiones „Boy Scouts of America" 200, Fifth Avenue. New York City U.S.A. z prośbą o odesłanie listu do biura wymiany korespondencji.

„Trzynastakowi" z Warszawy. Serdecznie Wam dziękujemy za pamięć o nas, wyrażającą się przez tak częste nadsyłanie artykułów i fotografij. Drużyna Wasza spełnia swój obowiązek względem „Harcerza" i gorącem naszem życzeniem jest, aby zaczęły naśladować ją wszystkie drużyny stołeczne i prowincjonalne.

„Staremu Harcerzowi" z Wilna. Bardzo Wam dziękujemy za Wasz list. Z artykułu skorzystamy jak również z załączonych fotografij. Serdecznie Was prosimy o dalszą współpracę i oczekujemy obiecanych artykułów.

Czuwaj!

Irce — Zuchowi. Bardzo dziękuję Ci, kochany Zuchu, za twój list do mnie i za ucałowania i pozdrowienia. Wierz mi, że Redakcja „Harcerza" czeka tylko na wezwanie Czytelniczek i Czytelników. Już w następnym numerze zobaczysz, że prośba twoja została wysłuchana: ukaże się „Kącik Wilcząt", w którym i Zuchy będą mogły znaleść wiele ciekawych dla siebie rzeczy. Spodziewam się, że wtedy jeszcze bardziej będziesz kochała „Harcerza", a może sama gdy więcej zdobędziesz wiedzy, napiszesz nam coś ciekawego i pięknego.

Ślę Ci serdeczne pozdrowienia.

Czuwaj

Redaktor.

OD REDAKCJI. Redakcja i administracja „Harcerza„ zostały przeniesione na ul. Boduena 4 m. 1. Telefon 308-75. Sekretarka redakcji dh. Zofja Gołębiowska przyjmuje interesantów codziennie od godziny 18 do 20-ej.

KLEJNOTY TREHEARNE'ÓW.

Przełożyła z angielskiego ***N. Korsakówna.***

Klejnoty rodzinne Trehearne'ów były w niebezpieczeństwie. Ukartowano sprytny plan, aby je ukraść. Tę dziwną historję Laurence Pardon opowiedział skautom z Patrolu Wilków, napotkanych w ich obozie. Zdarza się okazja spełnienia dzielnego czynu — pomyślał Will Mortimer, dowódca Patrolu. Idąc po nitce do kłębka, skauci urządzają mądrze obmyślaną zasadzkę na rabusiów. Czy się ten pomysł udał? Odpowiedź na to pytanie daje poniżej umieszczona wzruszająca opowieść, pióra *E. Le Breton Martin'a.*

Chłopiec, który zemknął.

—Hej, stój! Co tam do licha? Czy trenujesz się na przyszłe zawody Olimpijskie, czy też obrabowałeś jaki bank?

Patrol Wilków z Bearminsterskiej armji był na wycieczce. Skauci stągli obozem w dolinie Buryan Moor, w Kornwallisie, a wyżej przytoczone uwagi wyszły z ust Will'a Mortimer'a, dowódcy Patrolu, który wraz z resztą towarzyszów rozkoszował się blaskiem ogniska w piękną, bezksiężycową noc. Wywołane one były raptownem ukazaniem się skautom pędzącego małego chłopca, mocno zdyszanego i bez kapelusza.

Zagadkowy dzieciak, z trudem chwytajac ustami powietrze, wyrzucił następujące wyrazy: „Pozwólcie mi przystać do was! Ja uciekłem. Dzieją się straszne rzeczy. Jesteście skautami! Wy mi pomożecie! Ukryjcie mnie! Musicie to uczynić!".

Zachowanie się chłopca było takie dziwne, głos jego tak pełen strachu, że skauci wyskoczywszy jak jeden mąż na równe nogi, przez czas jakiś spoglądali na niego w milczeniu.

—Chodź, zbierz się do kupy, chłopcze —rzekł Mortimer.—Co to wszystko ma znaczyć? Siadaj i mów do rzeczy, o ile nie jesteś ścigany i niema niebezpieczeństwa w tem, że tu się znajdujesz! Jestem Will Mortimer, a to jest Jack Collins, mój zastępca, pozostali zaś to Ben Thursfield, Donald Scott, Jim Farrell, Peter Perkins i Dick Hislop. Jak się nazywasz?—Chłopiec, który przez ten czas uspokoił się trochę, spoglądał wokoło na całą grupę

—Nazywam się Laurence Pardon — odrzekł.— Ojciec mój i matka oboje pomarli. Mieszkałem u wuja, który posiada stary dom stąd o trzy mile mniej więcej. Zowie się Helmore. On to — ach ja nie wiem, doprawdy. Nie mogę uwierzyć, aby to była rzeczywista prawda! To nazbyt straszne!.

—Jeżeli chcesz, abyśmy przyszli Ci z pomocą" — wtrącił Jack Collins — dobrze by było abyś wypruł z siebie całą historję jak możesz najprędzej.

—Zrobię to, chcę to uczynić,—odparł poważnie Pardon, tylko niezupełnie wiem, od czego zacząć. Ojciec mój umarł przed rokiem mniej więcej, zaś matka moja o trzy lata wcześniej. — Tatuś nie pozostawił żadnego majatku. Mieszkaliśmy w Londynie. Wtedy mój wuj zabrał mnie do siebie. Ja chodziłem do szkoły, lecz powiedział, iż nie życzy sobie, abym nadal uczęszczał do szkoły, gdyż mogę być mu pomocnym w jego zajęciu. — Zatrzymał się znowu.

— Jedź dalej, — rzekł zachęcajaco Mortimer.

—Od samego początku nie lubiłem go— ciągnął dalej chłopiec. — Wydawało się, iż zawsze ma dużo pieniędzy. Przywiózł mnie wte strony samochodem i wszystko było takie dziwne. Zaczął odrazu uczyć mnie prowadzić samochód, dawał mnie wiele dziwnych zajęć, takich jak, naprzykład odnoszenie rachunków i towarów.

—Gabinet mego wuja w Moorland—tak zwie się jego dom — jest to ładny, staroświecki pokój z ogromnem oknem, w którem urządzone są wygodne siedzenia. Dzisiaj po herbacie wziąłem książkę i zaszyłem się w kąt okna za szeroką kotarą, zwieszającą się nad oknem. Przesiedziawszy nad czytaniem spory kawał czasu, poczułem senność. Jakoż wkrótce zasnąłem.

Gdy się ocknąłem, było już całkiem ciemno i kotara była zaciagnięta nad oknem. Nie pojmuję jak się stało, że mnie nie spotrzeżono. Może, dzięki temu, że byłem wciśnięty w kąt okna, lecz możliwe, iż służąca, która zaciągała kotarę, widząc mnie śpiącym, nie chciała mnie budzić. Bądź co bądź, znajdowałem się za kotarą w oknie. Mogłem słyszeć głosy w pokoju, jeden. należący do mego wuja i właśnie miałem zamiar wyjawić mu moją obecność, gdy doszły do mych uszów wyrazy wypowiedziane przez wuja do drugiego, znajdujacego się w pokoju, obcego mi człowieka, wyrazy, które sprawiły, iż zwinąłem się w kłębek jak najciszej i począłem się wsłuchiwać w dalszy ciąg rozmowy.

Mój wuj mówił następujące słowa: — Cały plan opracowałem do najdrobniejszych szczegółów. Całą sztukę spłata dla nas Laurence, nikt nie będzie go podejrzewał. Jest to miękkie, niewinne dziecko i jutro cała rzecz będzie skończona.

Wtedy odezwał się głos drugiego człowieka.

— Na czem że polega ten plan? — zapytał.

— Klejnoty rodzinne Trehearne'ów — ciągnął dalej wujaszek — warte są około pół miljona funtów szterlingów. Zwykle zamknięte są w skarbcu, zbudowanym z zastosowaniem ostatnich wynalazków w dziedzinie bezpieczeństwa i niedostępności. Lecz wedle jednego z tych dziwacznych zwyczajów, o jakich słyszy się nieraz w starożytnych rodach, klejnoty te od wielu już lat są wynoszone ze skarbca 11-go czerwca każdego roku, a to zgodnie z wyraźną wolą, wyrażoną w jakimś dawnym testamencie. Testatór wyraził życzenie, aby klejnoty były wystawione na widok ludzki od 11-ej godziny rano do 5-ej po południu, poczem z powrotem odnoszone być winny do skarbca aż do następnego terminu.

Wtedy drugi człowiek zaśmiał się i rzekł: —Lecz w jaki sposób ta okoliczność ma dopomóc nam do zawładnięci aklejnotami?

Wuj także się roześmiał i odrzekł: —Wczoraj kazałem Laurence'owi zanieść do pałacu Trehearne'ów dwa pakunki, zawierające modele serwisów do herbaty, gdyż lady Trehearne ma zamiar ofiarować taką zastawę komuś, jako ślubny prezent. Jutro po południu ma on powrócić po te serwisy i po obstalunek lady Trehearne. Lecz zamiast serwisów wyniesie on klejnoty rodzinne Trehearn'ów.

Will Mortimer lekko gwizdnał, reszta skautów poczęła szybko oddychać.

— Do licha — mruknął Jim Farrel, cóż to za bajki z tysiąca i jednej nocy.

— Cicho bądź — rzekł Mortimer. Mów dalej, Pardon.

— Nieznany mi pan — kończył opowiadanie chłopak — zaśmiał się w sposób dowodzący, iż ma wuja mego za pozbawionego zmysłów. W jakiż sbosób masz zamiar wykonać tę sztukę magiczną? Jeżeli te klejnoty są rzeczywiście tak cenne, jak twierdzisz, musi być słaba szansa, by się można dobrać do nich?

— W zwykłym rzeczy porządku rzeczywiście szansa nie była wielka — ciągnął dalej wuj — lecz cała rzecz leży w następujacej okoliczności: najstarszy syn rodziny i spadkobierca jest młodzieńcem, któremu na imię Oliver Trehearne. Spotkałem się z nim w Londynie. Jest on w wielkich kłopotach pieniężnych i należy do spisku. Za wyniesienie klejnotów mam otrzymać pięć tysięcy funtów, resztę pieniędzy, osiągniętych ze sprzedaży klejnotów ma być dla Olivera.

Nieznajomy znowu począł się śmiać.

— Pięć tysięcy, zamiast pół miljona — mówił drwiącym głosem. Nie sądziłem, że z ciebie dudek. Helmore.

— Nie martw się — odpowiedział wuj. Jak raz dostaniemy w swoje ręce klejnoty, Trehearne może gwizdać na nie. Sądziłem, żeś w ostatnich czasach miał możność poznać się na mnie! Zatem teraz pojmujesz. Laurence pojedzie po modele, przywiezie je samochodem, przed wschodem słońca będziemy w Londynie, a potem... chłopak przerwał nagle opowiadanie. Oto i cała historja. Rozumiecie teraz, towarzysze, dlaczego uciekłem. C. d. n.

Redakcja i administracja „HARCERZA" pragnąc zachęcić Dny i Dhów do zjednywania prenumeratorów postanowiły za przysporzenie Harcerzowi czytelników udzielać premij według poniższego wykazu.

Dla ułatwienia Administracji rozsyłania premij oraz ujęcia w ewidencję świeżych czytelników, załączamy druczek, który do ilości uzyskanych prenumeratorów należy odpowiednio wypełnić i przesłać, a pieniądze przekazać na konto P. K. O. 10020.

Pokwitowanie za wpłaconą prenumeratę administracja będzie rozsyłała indywidualnie prenumeratorom.

WYKAZ PREMIJ:

Za uzyskanie	10	prenumeratorów	rocznych	premja	wartości	20 zł.
„	„	„	„	półroczn.	„	„ 10 „
„	„	5	„	rocznych	„	„ 5 „
„	„	5	„	półroczn.	„	„ 5 „
„	„	10	„	kwartaln.	„	„ 5 „
„	„	10	„	miesięczn.	„	„ 2.50
„	„	5	„	kwartaln.	„	„ 2.50

Premje będą się składały z towaru lub książek, wybranych dowolnie z cennika C. K. D. H., który na żądanie będzie wysłany.

PRENUMERATA:

Rocznie	wraz z przesyłką			12 zł.
Półrocznie	"	"	"	6 "
Kwartalnie	"	"	"	3 "
Miesięcznie	"	"	"	1 "

CENY OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę	100 zł.
za pół strony	55 "
za ćwierć strony	30 "

Numer pojedynczy 50 groszy.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. № 10,020 albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza" w Warszawie, ul. Traugutta № 2.

Adres redakcji: Warszawa, ul. Boduena 4 m. 1.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor *T. Uhma.*

Druk. p. f. „LECH", Sp. z o. o., Warszawa, Koszykowa 33, Tel. 403-66